

Paweł Rzewuski: Boże Ciało i staropolska tolerancja?

W 1564 roku podczas procesji Bożego Ciała w Lublinie działacz kalwiński Erazm Otwinowski, wyrwał celebransowi monstrancję, rzucił ją na ziemię i podeptał. Pomimo licznych protestów został skazany tylko na zapłacenie odszkodowania za zniszczone naczynie liturgiczne – pisze Paweł Rzewuski w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: Rzeczywiście Obecny.

W 1564 roku podczas procesji Bożego Ciała w Lublinie działacz kalwiński i poeta religijny, Erazm Otwinowski, wyrwał celebransowi monstrancję, rzucił ją na ziemię i podeptał. Swój czyn argumentował przekonaniem, że procesja „ubliżała Bogu”. Stanął przed sądem, gdzie bronił go sam Mikołaj Rej. Ostatecznie pomimo licznych apeli nie został skazany na inną karę niż zapłacenie odszkodowania za zniszczone naczynie liturgiczne. Wydarzenia z Erazmem Otwinowskim w roli głównej mogą stanowić przyczynek do rozważań nad tolerancyjnością staropolską. Tolerancją, która, jak głoszą niektórzy krytycy, została zatracona w czasie kontrreformacji. Pytanie, czy faktycznie istniała.

Państwo bez stosów?

W Polsce cały czas funkcjonuje przeświadczenie o niezwyklej tolerancyjności Polaków w czasach renesansu. Zestawia się go z brutalną i bezwzględną kontrreformacją czasów baroku, zaś sam pogląd ten ugruntował się stosunkowo dawno. Szkoła historyków krakowskich, poza wykonaniem wspaniałej pracy wydawniczej, dokonała również daleko idącego wartościowania tradycji I RP. Polscy intelektualiści XIX wieku, żyjący w traumie po upadku I Rzeczypospolitej, szukali powodów upadku dawnego mocarstwa. Będąc jednocześnie pod wpływem oświecenia, a później i pozytywizmu, dokonali własnej oceny, wskazując, co było dobre, a co nie. Pod wpływem tych sądów pozostawali ich uczniowie z czasów II Rzeczypospolitej, a pewne utarte schematy były jeszcze bardziej pogłębione przez historiografię czasów PRL.

Jednym z silniej utrzymujących się mitów jest przeświadczenie, że Polska byłaby krajem tolerancyjnym, gdyby nie kontrreformacja, która wszystko zepsuła. Jezuici i ich poplecznicy zdławili ekumenizm i humanizm, a zamiast tego dali dewocję i sarmatyzację religii. Oczywiście wszystkiemu są winni katolicy. Jako przykłady przywołuje się dwa oddalone od siebie o blisko sto lat wydarzenia, stosunkowo łagodne potraktowanie Erazma Otwinowskiego i ścięcie Kazimierza Łyszczyńskiego za ateizm. Podobnie zestawia się dwa akty polityczne: konfederację warszawską, mającą być apogeum tolerancyjności religijnej i wykluczającą konfederację barską. W zapędzeniu wychwalania czasów renesansu można usłyszeć nawet głosy o ekumenizmie, jaki rzekomo wówczas panował.

Ekumenizm staropolski?

Głównym problemem z mówieniem o tolerancyjności staropolskiej jest prezentyzm pojęciowy. Przystawia się współczesny sposób rozumienia słowa „tolerancja” do wieku XVI, XVII, XVIII. Dziś pod tym sformułowaniem rozumie się stanowisko, na mocy którego dopuszcza się istnienie różnych form percepcji rzeczywistości, ponieważ nie można z całą pewnością stwierdzić, że istnieje jedna wizja świata. Mówiąc wprost, jest to pogląd zawierający dużą dawkę sceptycyzmu epistemologicznego odnośnie istnienia jednej prawdy, a przynajmniej dopuszczający wątpliwości i przez to szanujący zdanie innych.

Konsekwencją takiego stanowiska jest poszanowanie innych sposobów postrzegania świata, bo przecież nie jest wykluczone, że prawda przez nas wyznawana nie jest jedyną. Aby taki pogląd mógł zaistnieć, musi w umysłach ludzkich powstać myśl, że prawda jest względna. A w wieku XVI i XVII nikt – bo przecież cała Europa była wychowana na Arystotelesie i Platonie – w taki pogląd nie mógł wierzyć. Nikt nie wierzył, że jest wiele prawd. Co najwyżej dopuszczano możliwość, że po raz pierwszy dobrze odczytano prawdę. Kalwinizm i luteranizm nie były inną wersją rzeczywistości, ale słuszną wizją rzeczywistości. Tolerancja staropolska z konieczności była czymś innym.

Śledząc przebieg staropolskiego patrzenia na sprawy tolerancji, należy powiedzieć, że miała ona charakter zgoła inny. Jej tolerancyjnością było nie uznanie wielu prawd, ale uznanie jednej słusznej i przyznawanie innym prawa do głupoty. Chce czcić obrazki, niech czci głupi katolik. Nie chce wierzyć w przemienienie i Matkę Boską, niech głupi kalwin nie wierzy. Nie chce uznawać papieża i modlić się w łacinie, jego wybór, durnowatego Rusina prawosławnego.

Konsekwencją takiego stanowiska jest jego tymczasowość. Bo ileż można znosić głupotę drugiej strony? Wszystkie wyznania były okopane na swoich stanowiskach i tylko czekały, aby dokonać ostatecznego zwycięstwa. Katolicy, luteranie, kalwini, prawosławni w przeważającej liczbie czekali na ostateczny triumf. Nawet niby to ugodowi arianie przekonani o mocy rozumu liczyli, że wreszcie cała ludzkość przejrzy na oczy. Przesilenie musiało nadjeść. A prawda jest taka, że wszystkie środowiska były w tym samym stopniu tolerancyjne, co nietolerancyjne.

Ostatecznie, za sprawą licznych czynników w Polsce zwyciężyła kontrreformacja. Złożyło się na to wiele przyczyn, spośród których kluczowym był spryt i niebywały wręcz poziom przygotowania Towarzystwa Jezusowego. Nowy zreformowany katolicyzm prezentowany przez uczniów Loyoli, po pierwszej fazie sprzeciwu ze strony szlachty, ostatecznie został uznany za niezwykle atrakcyjny. Okazał się idealnie wpisywać w formułę religijności i mentalności staropolskiej.

Granice tolerancji?

O tym, że tolerancja dla głupoty ma swoje granice świadczy sprawa Kazimierza Łyszczyńskiego. Dziś uznawany przez wolnomyślicieli za pierwszego polskiego męczennika ateizmu. Prawda jest taka, że Łyszczyński nie umarł ze względu na głoszone przez siebie poglądy, ale ze względu na ich ustrojową konsekwencję, o czym świadczy chociażby stanowisko katolickiej szlachty wobec jego osoby.

Kiedy w XVI-wiecznej Europie szalały religijne represje, polska szlachta zdecydowała się otoczyć opieką innowierców. Gdy w Paryżu doszło do rzezi nocy św. Bartłomieja, nad Wisłą żyli ludzie wolni, mający prawo do wznoszenia modlitw i w cerkwi, i w zborze, i w katedrze

Łyszczyński napisał dzieło o nieistnieniu Boga. I gdyby napisał traktat uderzający po prostu w kościół katolicki, nie spotkałyby go żadne reperkusje. Problem stanowił fakt, że odrzucając (jawnie) istnienie Boga, stawiał się niejako poza wspólnotą prawną. Ba, ponieważ podważył

wiarę, podważał również hierarchię, a co za tym idzie występował przeciw królowi. Łyszczyński zginął jako potencjalny anarchista, a nie wolnomyśliciel. Okoliczna szlachta katolicka i prawosławna, znając faktyczne stanowisko swojego sąsiada, wzięła go w obronę, usprawiedliwiając rozliczne dziwactwa. Problem w tym, że wystąpił on przeciw porządkowi politycznemu i nie mogło być odstępstwa od kary. Nawet władca, który zezwolił na powrót do wspólnoty Rzeczypospolitej tatarom, którzy wcześniej przeszli na stronę sułtana, nie mógł go nie skazać. Jego przypadek nie wiąże się więc bezpośrednio z problemem tolerancji, chociaż jako taki jest często przywoływany.

Jak katolik z innowiercą?

Problem tolerancji staropolskiej jest znacznie bardziej złożony niż by się mogło wydawać. W powszechnym przekazie przedstawia się wiek XVI jako rodzaj idylli, w której katolicy wspólnie żyli z protestantami oraz prawosławnymi. Nie do końca tak było. Od początku wejścia do Rzeczypospolitej reformacji, spotkała się ona z oporem. Jednym z autorów, którzy wyjątkowo jednoznacznie opowiadali się przeciw innowiercom był Stanisław Zaborowski, autor *Traktatu o naturze praw i dóbr kościelnych* – tekstu stanowiącego fundament ruchu egzekucyjnego. Jednym z naczelných kontrreformatorów, gorącym zwolennikiem sprowadzenia jezuitów do kraju, był Stanisław Hozjusz – przedstawiciel dyplomatyczny Rzeczypospolitej przy Stolicy Piotrowej.

Dzieje stosunków katolicko-innowierczych wcale nie należały w Rzeczypospolitej do kolorowych i wielokrotnie przybierały radykalną formę, nie raz zresztą bardzo poetycką, jak polemika Orzechowskiego z Fryczem. Nie zawsze też były ściśle związane z kontrreformacją. W czasie rokoshu zebrzydowskiego istniało niemałe stronnictwo szlachty, która pozbyłaby się z kraju najchętniej i jezuitów, i innowierców.

Swoje winy miały zresztą obie strony. Na każdy akt przemocy ze strony katolików odpowiadali przemocą protestanci. Konflikt przybierał różne formy, od słownych utarczek, przez napady żaków i dewastacje miejsc kultu, tak jak to miało miejsce 1647 roku, kiedy na rozkaz protestanta Radziwiłła jego pachołkowie usuwali katolickie krzyże na terenie województwa wileńskiego. Warto zadać sobie pytanie, czy to, co uważamy za przejawy tolerancji, jak na przykład konfederacja warszawska, nie było czymś zupełnie innym. Tolerancja była raczej wynikiem słabości niż siły. Dominowała tam, gdzie żadna ze stron nie mogła ostatecznie przejąć pełni władzy.

Od konfederacji do konfederacji

Fakt, że konflikt polsko-katolicki nie przybrał formy krwawej, jak to miało miejsce na przykład we Francji podczas nocy świętego Bartłomieja, był wypadkową kilku okoliczności, będących w równym stopniu wynikiem specyfiki polskiego katolicyzmu, jak i polskiego protestantyzmu.

Pisząc i mówiąc o tolerancji w Rzeczpospolitej Obojga Narodów, nie można nie wspomnieć o konfederacji warszawskiej. Wskazuje się ją jako szczytowe osiągnięcie polskiego renesansu. Zestawia się zaś z konfederacją barską, która jako taka miała być wyrazem szowinizmu. Jednak to właśnie na jej przykładzie widać, że istnieją dwa różne poziomy tolerancji dla różnic poglądów: polityczna i osobista.

Faktycznie trudno wyobrazić sobie w historii I Rzeczpospolitej dwa akty, które na pozór są bardziej sobie przeciwstawne. Konfederacja warszawska wskazywana jest jako szczyt polskiej myśli tolerancyjnej, najważniejsze osiągnięcie polskiego renesansu. Kiedy w XVI-wiecznej Europie szalały religijne represje, polska szlachta zdecydowała się otoczyć opieką innowierców. Gdy w Paryżu doszło do rzezi nocy św. Bartłomieja, nad Wisłą żyli ludzie wolni, mający prawo do wznoszenia modlitw i w cerkwi, i w zborze, i w katedrze. Konfederacja barska zaś kojarzy się jako szczyt katolickiego relacjonizmu i szowinizmu.

W 1573 roku szlachta wystąpiła przeciwko tendencjom panującym w całej Europie i opowiedziała się za daleko idącą tolerancją. Czy też raczej za czymś, co dzisiaj odczytujemy za tolerancję. Każdy szlachcic miał prawo do wyznawania własnych przekonań i władca nie mógł pozbawić go jego religijnych swobód. Nie była to tolerancja rozumiana na dzisiejszy sposób. Brakuje w niej pierwiastka poprawności politycznej, blokującego możliwość krytyki poglądów innych. Szlachcic miał prawo wyznawać własne poglądy, ale musiał zdawać sobie sprawę, że będzie narażony nie tylko na krytykę, ale i na ataki. Tolerancja zapisana w konfederacji warszawskiej nie wykluczyła konfliktu. Szczególnie, że nigdy nie została powszechnie uznana.

Ponadto konfederacja warszawska była aktem, który powstał w czasie kryzysu bezkrólewia. Tolerancja w nim zawarta była środkiem do zapobieżenia destabilizacji kraju. Trudno sobie wyobrazić coś bardziej tragicznego niż wojnę religijną w pozbawionym króla państwie. W wielu aspektach była powtórzeniem praw przysługujących szlachcie od dawna i tylko potwierdzeniem ich w dobie kryzysu. Konfederacja warszawska była właśnie przykładem tolerancji politycznej, ustanowionej na czas niepokoju.

Niecałe 200 lat później ich potomkowie zebrawszy się w twierdzy Bar zgłosili akces do konfederacji, do której dopuszczono jedynie prawowiernych katolików. Już nie dla luteranów i nie dla kalwinów Pospolita Rzecz, jedynie katolik ma w Polsce prawa. Jedynie taką wizję historii, w której mamy do czynienia z „polskim ciemnogrodem”, skutecznie zaszczepiono w polskich umysłach. Katolicyzm miał przesiąknąć już wtedy wszystkie sfery i ostatecznie zabić złotą wolność wyznaniową. Możliwość pojawienia się wykluczających innowierców

tekstów była wynikiem procesu, jaki zaszedł w Rzeczypospolitej od czasów potopu szwedzkiego, a który miał swoje ukoronowanie w postanowieniach sejmu niemego z 1717, podczas którego wykluczono ich ze wspólnoty politycznej. Jednocześnie w akcie konfederacji zabraniano aktów przemocy w stosunku do kalwinów czy luteranów, nie przeciw nim była bowiem wymierzona. W sensie prawnym nie było już możliwości dla tolerancji względem innowierców, bo zgodnie z prawem przestali być oni częścią wspólnoty politycznej. Nie wykluczało to natomiast tolerancji osobistej i pozostawiania „prawa do głupoty” dla pojedynczych ludzi.

W rzeczywistości oba akty wynikały z siebie, były niejako konsekwencją. Pierwotnie model obywatelstwa w Rzeczypospolitej Obojga Narodów zakładał prymat polityki nad wymiarem religijnym. Nie oznaczało to, że nie było się członkiem religii katolickiej i nie powinno się realizować jej postanowień, ale że wpierw identyfikowano się z grupą szlachecką, było się członkiem narodu politycznego, czyli człowiek wolny, a dopiero potem katolik, protestant, prawosławny.

Takie stanowisko miało różne konsekwencje. W przypadku szlachty katolickiej bardzo często prowadziło do specyficznego stanowiska wobec Watykanu i papieża. Stanowisko takie wyraził chociażby Jan Ostroróg w swoim memoriale, gdzie pisał, aby nie płacić świętopietrza i Stolicę Piotrową trzymać na dystans. Takie stanowisko łatwo się kwalifikuje jako wolnomyślicielstwo, czy wstęp do reformacji, tymczasem było to podkreślenie własnej niezależności od czynników zewnętrznych. Czy to były inne mocarstwa, czy też Watykan. Obecne wśród katolików przeświadczenie o własnej niezależności politycznej stało się później podstawą krytyki Towarzystwa Jezusowego, pragnącego wprowadzić absolutyzm.

Inaczej wyglądała sprawa w przypadku zwolenników reformacji. Bardzo szybko zaczęli oni zyskiwać na sile, szczególnie wśród średniej szlachty, nigdy nie stworzyli jednak prawdziwej politycznej potęgi. Mogli w znaczący sposób współdecydować o losach państwa, ale nie mogli całkowicie przejąć władzy.

Stąd też powstała koncepcja, aby w jak największym stopniu zeświecczyć Rzeczpospolitą. Konfederacja warszawska była postulatem politycznym, a nie społecznym. Pozwalała bowiem zwiększyć przestrzeń działania kalwinów i luteranów. Była jednak kompromisem przedstawionym przez słabszą politycznie stronę, jaką byli innowiercy. Nic nie wskazuje, że postulowana przez nich tolerancja, opisana w konfederacji warszawskiej, utrzymała się w przypadku większego znaczenia politycznego zwolenników reformacji.

Obie tendencje niezależności i poszukiwania przestrzeni politycznej zrodziły ostatecznie stan tymczasowej tolerancji. Była w nim przejściowość, nie był bowiem punktem dojścia a jednym z etapów. Wiązało się to z jeszcze nie do końca wypracowaną tożsamością narodową, która zaczęła z czasem dążyć ku oparciu się na katolicyzmie i związanym z nim zarówno mesjanizmie, jak i umiłowaniu do mistyki. Model obywatelstwa przechodził jednak przemiany, ewoluował. Kiedy w Rzeczpospolitej pojawił się silny i skuteczny podmiot w postaci Towarzystwa Jezusowego, zwolennicy reformacji zaczęli być w odwrocie. Był to ostateczny etap ewolucji. Czegoś, co romantycy nazwaliby duszą polską.

Z biegiem czasu, kiedy procesy szły coraz dalej, kończyło się miejsce dla tolerancji politycznej. Wpierw wypędzono arian – grupę, która w największym stopniu odbiegała od wzorca szlachcica katolika-wojownika (zarówno poprzez odrzucenie dogmatów, jak i pacyfizm). Kolejnymi etapami były restrykcje w stosunku do protestantów (pogłębione przez doświadczenia potopu szwedzkiego) ukoronowane przez sprawę tumultu toruńskiego. Wtedy po raz pierwszy nietolerancja wobec innowierców i skazanie ich na karę śmierci zostały przypieczętowane oficjalną decyzją władcy. Król polski August Mocny Sas stanął jednoznacznie po stronie jednej religii. Tolerancja polityczna musiała zginąć, bo w procesie ewolucji sarmatyzmu nie mogłoby być dla niej miejsca. Pozostało zaś miejsce dla tolerancji wobec prywatnych przekonań.